



Szewczenko wśród polskich przyjaciół

Na II Zjeździe PZPR delegat radziecki KPZR N. Chruszczow mówił: „Mamy liczne przykłady z przeszłości przyjaźni osobistej ludzi Rosji, Polski i Ukrainy. Ludzie ci opierając się na wspólności narodowych interesów, dążyli do nawiązania przyjacielskich stosunków między naszymi narodami.”

Jednym z interesujących dowodów takiej współpracy w przeszłości jest reprodukcja z okazji 300-lecia połączenia Ukrainy z Rosją przez pismo „Ogoniok” rysunek artysty rosyjskiego Czernyszewa, który przedstawia wielkiego ukraińskiego poe-
Tara Szewczenkę w otoczeniu przyjaciół polskich.

Pierwszy od strony lewej siedzi Bronisław Zaleski, historyk i artysta malarz. Z Szewczenką wiązały go nie wielkiej i serdecznej przyjaźni. Czwarłym z tej strony jest Tomasz Werner, z którym ukraiński poeta przez półtora roku dzielił trud eksperymentu na Morze Aralskie. Szóstym od strony lewej jest Ludwik Turno, który razem z Szewczenką i Zaleskim w 1851 r. brał udział w pochodzie na Karat w poszukiwaniu kamiennego węgla. Drugim od strony prawej (sto-
jący) jest Taras Szewczenko. W Orenburgu przebywał wówczas razem z Szewczenką nasz wielki rewolucjonista Zygmunt Sierakowski.

Wieś w cyfrach

Temat przed wojną wstydliwie przemilczany

W pewnej wsi pod Mszczonowem nauczyciel Klimaszewski oprowadził mnie po kilku chatkach, gdzie pod opieką rodzin chłopskich „utrzymywani” przez gminę przebywali najbardziej z biednych. Gmina płaciła grosze, a żywiciele zresztą idącymi byli bogatsi od swych podopiecznych. Zaszliśmy do jednej walczącej się chatki. Rodzina słożona w jednej izbie od dawna widać nieopalała.

— Aaaa, „Pietruszku” — pod takim przezwiskiem figurował w spisie. Nazwiska nie miał.

Chwila zamieszania. Wreszcie gospodyni prowadzi nas do sąsiedniej izdebki, prawie ciemnej. Okna zabite deskami. Zimno przeraźliwe. W kącie jakaś paka. Coś w niej szeleści.

— On tu leży — powiada gospodyni.

Istotnie. W skrzyni, przykryty słomą, leży człowiek zupełnie nagi, potwornie wychudzony, obrosnięty brudem i kudłami. Szczęka zębami, nie może mówić.

— Jakże to, możecie tak męczyć tego „Pietruszka”?

Okazuje się, że w domu jest tylko jedno ubranie. Wziął je mąż idąc do roboty.

— Ale właśnie dostał swoją żupę — dodaje pospiesznie zabiedzona, wychudła chłopka.

Rzeczywiście. Miska „Pietruszki” wylizana do czysta.

Przeraził się. Telefon do Zygardowa: „Weźcie tego człowieka. Przecież on umrze!”. Było z tym dużo trudności, lecz po trzech dniach go zabrano. Minęły dwa tygodnie zanim odzyskał mowę. A potem? Znowu poszedł pod czyjąś opiekę...

Pamiętam z okresu tych wędrówek, że niemal w każdej wsi było kilku lub kilkunastu kretynów, nieuleczalnych kalek, pół-idiotów. A działo się to pod Mszczonowem, o 30 km od Warszawy, stolicy „mocarstwa”, w Polsce „A”. Jak było w Polsce „B” i „C” — trudno sobie nawet wyobrazić.

Pisało się u nas przed wojną dużo „dla humoru” o degeneracji arystokratów. Ale o straszliwych spustoszeniach jakie czyniła nędza na wsi, o masowej degeneracji ludności wiedziało się niewiele — był to temat „wstydlawy” i... nieciekaw.



Przysłowiowa była nędza wsi polskiej. Czystym gościem w zagrodzie głodującego chłopca był sekwestator i policja.

Wspomnienia te nawiedzały mnie uparcie podczas czytania niezwykle interesującej książki, wydanej ostatnio przez Instytut Ekonomiki Rolnej pt. „Wieś w lezbach w Polsce burżuazyjno-obszarniczej i Polsce Ludowej”. 350 stron — prawie sama statystyka, ale jakże ciekawa i pouczająca.

NIEWOLNICZE FORMY WYŻYSKU

Do biedy wiejskiej, której gospodarstwa (poniżej 5 ha) stanowiły prawie 65 proc. ogólnej liczby gospodarstw, należało mniej niż 10 proc. gruntów. Gospodarstwa obszarnicze stanowiły 0,9 proc. ilości gospodarstw, obejmowały prawie połowę ogólnej ilości ziemi uprawnej. Rodzina obszarnicza posiadała przeciętnie 700 ha ziemi.

Z życia pracy rosło bogactwo obszarników i kulaków? Według statystyki z r. 1931 liczba rozmaitych kategorii robotników rolnych (rolniczych, parobków, sezonowych, wyrobników) wynosiła przeszło 1.300 tys. Dalszym źródłem półpańszczyźnianego wyzysku było 2.473.000 rodzin, stanowiących proletariat lub pół-proletariat rolny. Owe 2 1/2 miliona rodzin biedy wiejskiej służyło wprost lub pośrednio obszar 15 tysięcy rodzin obszar kulackich, jako źródło taniej siły roboczej, odroboków i rozmaitych innych form półfeudalnego wyzysku.

PROCES „WYPLUKIWANIA” ŚREDNIAKA

Ciekawy proces „wyplukiwania” średniaka ilustrują badania Instytutu Gosp. Społecznego z r. 1935 w sprawie społecznego pochodzenia bezrolnych. Okazuje się, że 55 proc. ów rodzin bezrolnych stanowił lub niedawno właściciele gospodarstw „średniackich” lub ich dzieci, usunięte z ziemi w drodze spłaty. Proces „wyplukiwania” średniaka wyrażał się zresztą nie tylko przez całkowite wyrzucenie z ziemi, ale w drodze systematycznego rozbierania gospodarstwa.

Na osławionej sanacyjnej „reformie rolniczej” zarabiał tylko obszar — rozbywając się za drogie pieniądze na najem przydatnych skrawków ziemi — i spekulant. Cena ziemi, która ostentacyjnie, w lichwiarskich ratach,

wplacił chłop za działkę — dochodziła do 150 q żyta za 1 ha, a więc przeciętnie dwa razy więcej, aniżeli wynosiła cena bleżaka. Dlatego też olbrzymia większość chłopów, którzy skorzystali z „dobrodrożstwa” sanacyjnej reformy rolniczej, dusiła się od długów — przeciętne zadłużenie przekraczało 1000 zł za ha, często przewyższając wartość ziemi.

ILE NA GŁOWE PRACUJĄCEGO?

Dalsze partie książki omawiają — na podstawie statystyki — bezpośrednie zadanie likwidacji nadmiernego pozostawiania w tyle naszego rolnictwa, wydobycia rezerw w produkcji, jako głównego warunku szybkiego podniesienia stopy życiowej narodu. Wbrew błędnemu mniemaniu, jakoby wzrost ciężaru gatunkowego przemysłu prowadził do zmniejszenia się roli rolnictwa, liczby dowodzą, że rozwój socjalistycznego przemysłu zwiększa — na mocy prawa planowego, proporcjonalnego rozwoju — nie tylko nasze wymagania, ale i możliwości pomocy rolnictwu. Znajdujemy tu dokładnie sprawdzone dane co do produkcji w spółdzielniach produkcyjnych. Wiemy wszyscy, że produkcja ta jest wyższa, aniżeli w gospodarstwach indywidualnych. Ale — czytamy tu — prawdziwe odkrycia zaczynają się wtedy, gdy wprowadzimy prostą i słuszną metodę porównań, stosowanych w przemyśle. Produkcja na jednego pracującego (w spółdzielni produkcyjnej) jest już dziś blisko dwukrotnie wyższa w zbożu i ponad dwukrotnie wyższa (wydajniejsza) w burakach, aniżeli pracującego w indywidualnych gospodarstwach chłopskich.

JESZCZE DUŻO DO ZROBINIA

Podobne fakty odstawia również statystyka, gdy chodzi o gospodarstwo w PGR-ach. Wiemy dobrze, że największym brakiem PGR-ów, utrudniającym ich właściwy rozwój, jest niedostatek — zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich — rąk roboczych (przypominamy, że gospodarka obszarnicza nie tylko nie odczuwała tego niedostateku, ale — żerując na 7-milionowej masie „zbędnej”, półbezroboczej ludności wiejskiej, miała nadmiar pracowników — oczywiście na warunkach głodowych). Ważne jest jednak

stwierdzenie już dziś, że tam, gdzie obsada personelu zbliża się do potrzeb rzeczywistych, plony w PGR-ach są o 30—50 proc. więcej niż w dawnych majątkach obszarniczych.

Nie pominięto zresztą i cieni — statystyka rzuciła na nie ostre światło: dowiadujemy się z niej, że PGR w roku 1952 wykorzystał swoje możliwości finansowe na cele socjalne i kulturalne zaledwie w 51 proc., w roku 1953 w 65 proc. Zwraca zwłaszcza uwagę największe niewykorzystanie funduszy na świetlice i dziecińce.

Książka „Wieś w lezbach” daje olbrzymie i bezcenne bogactwo rzeczowego, dokładnie sprawdzonego materiału. Powstała w okresie prac przygotowawczych do II Zjazdu partii, stała się powinna pomocą i zachętą do pogłębienia tak aktualnych dziś problemów dyskusyjnych zarówno w sprawach teoretycznych, jak praktyki życia codziennego. (J.)

LESZEK PROROK

„Książki mają swe losy”

Zdarzenie jest autentyczne, choć nie pamiętam już dokładnie, gdzie się przytrafiło. Był to może Kalisz czy Gniezno. W kawiarni spotkali się przypadkiem dwaj zaprzyjaźnieni literaci, jeden z Poznania, drugi z Łodzi. Każdego przywiodły tu jakieś sprawy, oboj mieli niewiele czasu — kilka godzin zaledwie. Każdy zwierzył się, iż w tym małym lecz ciekawym mieście jest po raz pierwszy i po załatwieniu interesów zamierza koniecznie obejrzeć przynajmniej najważniejsze zbiory i ciekawostki miasta. Zakończyli zatem spotkanie słowami: — pewno się jeszcze spotkamy, i rozeszli się. I rzeczywiście po południu zderzyli się nosami w wąskim przejściu między stłoczonymi regałami miejscowej księgarni. Każdy wstąpił ot „tylko na chwilkę”, by zobaczyć co mają z nowości i ugrzązł na dłużej. Każdy potem tłumaczył, że zatrzymała go nadzieja trafienia na ostatnich Mohikanów z wyczerpanych nakładów. Mohikanów jednak i tutaj nie było.

Zabawne a zarazem znamienne świadectwo działania najsłabszego narkotyku, jaki kiedykolwiek ludzkość zażywała. Szacownym pomnikiem Gniezna, Kalisza czy innego miasta przyciąga sympatycznych narkomanów książki — ujmę nie przy nosi. Jestem przekonany, że każdy z literatów zerknął jednak na ten czy ów zabytek, a także na jeden, drugi nowutki wysoko ściowiec prowincjonalny — nim zbłądził między zapchanymi półkami.

Ostatecznie wolny czas po świecą się najchętniej schlebniemu własnym słabościom. Przygoda, za której prawdziwość ręczę, wydać się może odosobnionym, wydać się może, że zdarzeniem dość przychodzi jednak czas, gdy wszyscy wydani jesteśmy na łup podobnej pokusie i najczęściej jej ulegamy. Oto w ślad za wczesnym wiosennym kwieciem, wyrosły na naszych ulicach i placach dziesiątki kiosków księgarskich. Żywością okładek wabią z daleka wzrok jak wielobarwny kwiatnik wabi owady. W miarę jak w ogrodach coraz silniej rozpięta się świeża zielen rozplenią się także wszędzie stoiska z książkami, forpoczą, a następnie główna uderzeniowa kolumna dorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy. Na ulicach i placach, wokół punktów loterii książkowej mrowi się tłumek, rosną na chodnikach zatory kulturalne, najkulturalniejsze.

„Habent sua fata libelli” — książki mają swe losy! Ów refleksyjny cy-

tat z wiersza łacińskiego gramatyka Terencjana Maurusa powtarzany był wielokrotnie w różnych epokach, z reguły jednak w tonacji smutnej, elegijnej. Kwitowano nim krzywdy wyrządzone książce, zwiędła, antyczna sentencja opatrywano jak etykietą cudowną ocalenie cennych ksiąg ze zniszczeń, pożarów, z aktów barbarzyńskiego księgozburstwa. W naszym kraju tonacja ta brzmiała smutniej niż gdzie indziej. — Pieśń ujdzie cało... — stwierdzał wieszcz przegawę tradycji ustnej nad zapisem. Księgom nie zawzięło się do udu. Niejedno o tym mogłyby powiedzieć rozwiane popioły księgozbioru Raczyńskich czy stołecznych bibliotek.

Dziesiątki kiosków, witryn i półek księgarskich, które rokrocznie w maju czy czerwcu coraz bujniej rozkwitają w polskich miasteczkach i wsiach, rozjaśniły formułę rzymskiego poety pogodnym uśmiechem. „Sua fata...” Zalew książki, który sięgnął do każdego osiedla i miliony podniósł do rangi czytelników, a części z nich weisnął w ogóle po raz pierwszy do rąk drukowane słowo, też do owych losów należy.

Z okazji dorocznych książkowych dni wiosennych tylekroć wspomina się słowa Mickiewicza o zbłąkaniu pod strzechę. Zbłądził, zapewne, ale już w ostatnim momencie, gdyż kończy się u nas strzechy. Oczywiście jest w tych słowach doza poetyckiej przesady, ważne jest to, że awans książki nie był wyodrębniony z ogólnego rozwoju społeczeństwa, że w nim tkwił jako znamień charakterystycznej nowości. I znowu refleksja: czy jeszcze nowości?

Co najbardziej oszałamia w wielkim społecznym awansie książki, jaki dokonał się w ostatnich latach, to chyba jego na dobre już utwierdzone zwyczajność w naszym życiu. Największa zmiana dokonuje się bowiem wtedy, gdy reforma przechodzi w zwykłość. Książka polska, docierając wszędzie, ma ten próg już za sobą.

Pogodny jest los książki w czwecowych dniach oświaty. A jednak, gdy błądzą wśród kiermaszu placem Wolności wracają słowa: habent sua fata libelli, w tamtym, dawniejszym znaczeniu. Z jednej strony rekonstruowane ruiny zabytkowej Biblioteki Raczyńskich, z drugiej inne, posępne, bardziej osobiste wspomnienie. Na tym oto placu w pamiętnym stosie książki polskiej u schyłku 39 roku zetlała również i moja książka. Mały, młodzieńczy tomik prozy, świeży ledwo pomaturalny wypadek w czarowny kraj literackiej przygody. Z placu niczym z urny, której nie zakrył szczelnie cień swastyki, wiatr wywiał popioły lwiej części nakładu. Spacer wśród książkowego wesela zadziwił nierzaz nutką osobistej żałoby.

W wandalizmie hitlerowskiej nienawiści do polskiej książki była metoda szaleńcza. Inna zgoła, też jednak metoda tkwiła w dochodowych zabiegach szajki geszefciarzy, z których procederem zetknąłem się przypadkiem w przedwojennej Warszawie. W pewnym domu o krzykliwych pretensjach kulturalnych sięgającym na chyblił trafił do biblioteki i znalazłem podarunek, jaki gospodarzowi ofiarował przyjaciel. Wygląd i tytuł książki utkwili mi trwałe w pamięci. Był to

zbiorek kazań ojca Bourdaloue, głoszący tom prozy francuskiego baroku (XVII w.). Obrotne dionie cacielił bożka zysku sklepiły karty starej książki, następnie wycięły środek z tekstem. Powstała w ten sposób szkatuła, przykrywana okładką w złocistym polskórku. W takiej oto zabytkowej szkatułce ofiarodawca podał kilka dziesiąt wytwornych papierosów. Gdy oglądałem wypatroszony, kaleki zabytek, papierosów już w nim nie było, szkatułka pachniała wszakże wonnym, dobrym tytoniem. Ileż ksiąg o-

kaleczyły po dobie rzutki przedsięwzięcia. Habent sua fata libelli. Ta haniebna historia też do ich losów należy, jak zła przeszłość

przodków naszych dzisiejszych książek, które uśmiechają się ze stoisk ulicznych, nieświadome może tych dziejów swego rodu.

Zaczętem dykteryjką: wymagania kompozycji zachęcają, by felieton zakończył też jakąś literacką faccją. Czasem, gdy stanę przed ulicznym kioskiem nie mogę powstrzymać uśmiechu. Przypominają mi się kłopoty poznańskiego światka literackiego sprzed kilku lat. Literaci będą obsługiwać kioski, będą wpisywać dedykacje na swych książkach! Tak głosiły instrukcje organizacji Dni. Wyniknął kłopot. Coż począć, gdy właśnie literaci poznający nie mają akurat bieżących pozycji w sprzedaży. Zadzierzysy propagandzista Domu Książki ani słyszeć nie chciał o opuszczeniu tego punktu instrukcji.

— Nic nie szkodzi — ratował pospiesznie sytuację — skoro nie macie własnych, będziecie podpisywać na innych książkach.

Łatwo tak mówić. Od biedy jeszcze Tadeusz Kraszewski mógłby na Józefie Ignacym. Zawsze w rodzinie zostanie, ale inni... śmieszna sprawa, nie uchochł, stanowców nie uchochł. Młody człowiek był jednak nieubłagany.

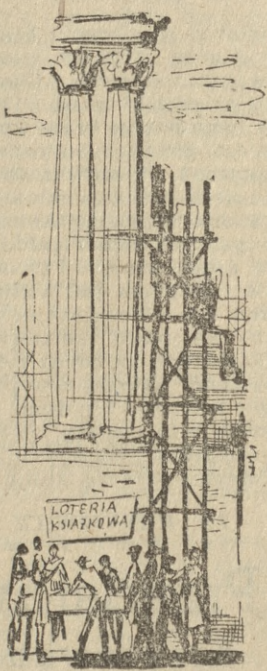
— Na pewno uchochł, w Warszawie tak robią.

— Niemożliwe.

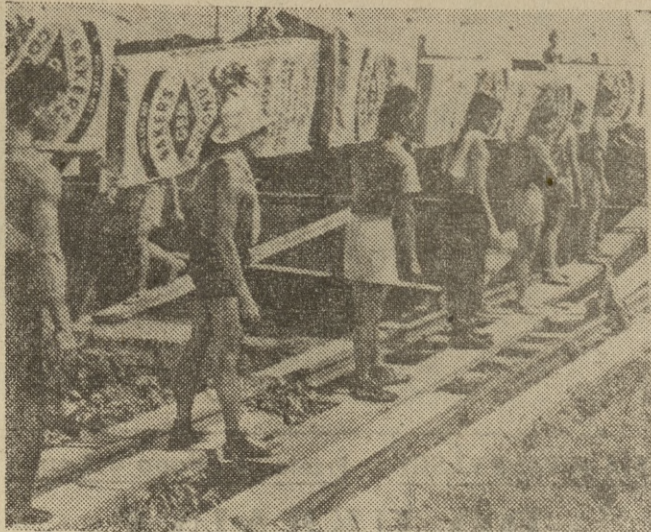
— A właśnie że tak — upierał się propagandzista — sam widziałem jak Jastrun podpisywał się na Mickiewicz.

Ale to jest zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych, tych zatem, licznych zresztą, którzy czytali piękną książkę Mieczysława Jastruna o Mickiewiczu. Oby ich było jak najwięcej. Dziś w kioskach inaczej. Dom Książki nie ma sztywnych instrukcji, a literaci poznający doczekali się szeregu wydawnictw, na których mogą dedykować z czystym sumieniem.

I oto mamy pretekst, by garść refleksji z racji Dni Oświaty, Książki i Prasy zakończyć także propagandowym akcentem. Czytajcie, kto jeszcze nie zna, „Mickiewicz” Jastruna! Dlatego zwłaszcza, że rok przyszedł to rok mickiewiczowski, a także dlatego, że nie należy czytać dobrych książek. Życie jest na to za krótkie. Trzeba czytać tylko książkę najlżejszą, a „Mickiewicz” na pewno do tych ostatnich należy.

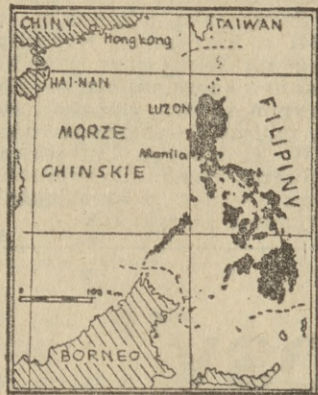


Zdjęcie przedstawia robotników w porcie Manila przeno-
szących worki z orzechami
kokosowymi. Eksploatator
kokosowych lasów Filipin:
firma „Baker's Coconut” —
robi wspaniałe „kokosy” na
pracy i żebraczych zarobkach
krajowców tej czarującej i
bogatej ziemi.



Ziemia 7000 wysp

Pękają kleszcze amerykańskiego imperializmu na Filipinach



w 31 walczą ludowe wojska
Hukbongu przeciwko ciem-
com-kolonizatorom. W pozosta-
łych prowincjach działają kon-
spiracyjne organizacje Huk-
bongu tropione przez policję
USA.

Komunikaty amerykańskie
donoszą wprawdzie o „osta-
tecznej likwidacji rewolucyj-
nych oddziałów”, lecz równo-
cześnie, jak niedawno podano
do wiadomości, wysadzono w
Manili nowy korpus ekspedy-
cyjny. 50 tysięcy żołnierzy a-
merykańskich, czołgi i aryle-
ria, samoloty z bombami napal-
mowymi, spadochroniarze i po-
licyjne psy — nie nie jest w
stanie powstrzymać walki Fili-
pińczyków o wolność ich Oj-
czyzny.



Obok węgla, ropy, rud żelaza i chromu, uranu, miedzi, srebra i złota — znajdują się przede wszystkim na wyspie Ramblil ogromne złoża marmuru. W tych marmurach pracują przeważnie polscy bezrobotni, których Seelba na rozkaz Waszyngtonu wysłał na Filipiny do pracy.

W marmurowych pałacach w Miami na Florydzie wypoczywają tymczasem multimilionerzy po „ciężkiej pracy” w bankach i giełdach Dolarii.

Od 1521 roku, tj. od odkrycia Filipin przez Magellana, znajdowali się mieszkańcy tych wysp, leżących między morzem Półd. Chińskim a Pacyfikiem — pod jarzmem Hiszpanii. W 1898 r., kiedy przy pomocy Stanów Zjednoczonych zdolali Filipinczycy uwolnić kraj od Hiszpanów, stały się wyspy własnością Dolarii. Od tego też czasu przybywa na kontach w bankach San Francisco, Detroit i Nowego Jorku coraz więcej cyfr. Niejeden multimilioner amerykański, być może, nie był na Filipinach, nie zna tej ziemi i ludzi, którzy przez całe życie pracują w najtrudniejszych warunkach bytu — dla panów bankierów z Wall-Street w Nowym Jorku czy na Noble-Street w Chicago.

Filipiny obudziły się! Wyzwolenie armia Filipin, Hukbong rośnie z każdym dniem na siłę. Dowodem tego fakt, że na 10 tysięcy powołanych pobor-
nych do „armii rządowej” sta-
wiło się 642 Filipinczyków. Re-
szta znajduje się już w górach
i dżunglach tej ziemi, o której
powiedział amerykański dyploma-
ta Jessup, „że jest to nasza
najsilniejsza baza USA”. Dzia-
lają te góry i dżungle na fili-
pińskich wyspach zamieniły się
według Jessupa „w beczkę pro-
chu”.

Na ogólną ilość 52 prowincji

Jeszcze rok temu Związek Radziecki żył budową wielkich kanałów: wołżańsko-
dońskiego i turkmeńskiego, dziś realizuje dalej olbrzymi plan przeobrażenia przyrody na użytek człowieka.

Komunistyczna partia i rząd postanowili zwiększyć powierzch-
nię kultur zbożowych w 1954—1955 przez zaoranie i zas-
ianie odłogów i ugorów na przestrzeni ponad 13 milionów ha w Kazachstanie, na Syberii, Uralu, stepach nadwołżań-
skich i częściowo w północnym Kaukazie. Da to krajowi 1100 — 1200 milionów pudów ziarna, w tym 800—900 milionów pudów towarowego ziarna. Już obecnie w roku bieżącym za-
siewy pszenicy i prosa na no-
wych ziemiach osiągną 2,3 mi-
liony ha, a pozostałe 10,7 mi-
lionów ha wzięte będą pod
uprawę w 1955 r.

Na zew partii i rządu odpo-
wiedział cały wielki kraj ra-
dziecki. Ze wszystkich krań-
ców, ze wszystkich republik w
ciągu kwietnia i maja br. prze-
szło 500 tysięcy zapalonych en-
tuzjastów ruszyło na bezludne
stepy. Tylko do Kazachskiej
Republiki Rad przybyło pra-
wie 50 tysięcy techników róż-
nej specjalności.

Bitwę z przyrodą prowadzą traktory

Drogami Kazachstanu idą
nieprzerwanie transporty. Nigdy
jeszcze ten kraj nie widział
takiego ruchu wozów, maszyn
i ludzi. Jak na wielką wojnę
płyną masy ludzkie, uzbrojone
w wiedzę agrotechniczną i na-
rządza do walki z przyrodą.
Idą traktory i siewniki i budo-
wlany materiał, żywność i czę-
ści zapasowe do maszyn. Pier-
wszą bitwę prowadzą traktory.
A razem z maszynami i
ludźmi idzie tysiące standar-
dowych domków dla armii o-
siedleńców. Najbardziej obcią-
żone są koleje. Setki wagonów
wiozą ściany i dachy, meble i
naczynia kuchenne. Ciche i

Czołowe brygady traktorzystów przy pracy

Na stepy Kazachstanu przy-
byli nie tylko pojedynczy lu-
dzie, czekający zorganizowa-
nia ich i zatrudnienia na miej-
scu, lecz całe doskonale zorga-
nizowane brygady z doświad-
czonymi kierownikami na czele.
„Kazachstanskaja Prawda”
pisze: „Wielu techników pro-
dujących Maszynowych Stacji
Traktorowych przywiozło z
sobą wysokie umiejętności,
nowe metody pracy i organi-
zacyjno-techniczne osiągnię-
cia”.

Sprawa zaopatrzenia no-
wych osiedli we wszystko co
potrzeba nowym osiedleńcom,
jak pisze „Kazachstanskaja
Prawda” polepsza się z tygo-
dnia na tydzień. Do nowych
sowchozów zagląda już kino,
zjeżdżają teatry Domów Kul-
tury, zjawili się księgonosze z
książkami i czasopismami. Ży-
cie kulturalne w nowych sow-
chozach jest w zawiązku. A
szkoła? W jesieni zorganizowa-
ne będą kursy techniczne dla
doszkolenia traktorzystów.
Szkółek dla dzieci ani przed-
szkółki na razie nie ma, bo dla
kogo? Na stepy przybyła mło-
dzież meška, komsomolcy bez
żon. Jedynymi kobietami są
neliczne traktorzystki i ku-
charki.

Trochę historii

Dzisiejszy Kazachstan znany
był Rosjanom już w XVI-XVI

Nasz najmłodszy czytelnik

Biblioteka dziecięca, aby
spełniała dobrze swoje za-
danie, posiadać musi dwa
działy: wypożyczalnię i czy-
telnię. Do wypożyczalni przy-
biegają dzieci w drodze ze
szkoły, albo do szkoły, wybie-
rają książkę w większym lub
mniejszym pospiechu i umy-
kają ze swą zdobyczą. Pracę
naprawdę męczącą zacząć
można dopiero w czytelni,
gdzie zatrzymuje się dziecko
na dłuższą chwilę dla prze-
glądnięcia Płomyka, Świersz-
czyka, barwnych książeczek
lub poczytania wybranej, ulu-
bionej książki. Dlatego nasza
Biblioteka Miejska w każdej
placówce dziecięcej urządzi-
ła w miarę możliwości kącik
lub salę dla wszystkich swych
młodocianych klientów od
przedszkolaków począwszy do
7 klasy włącznie. I tu dopie-
ro powstaje nieograniczone
pole do popisu, inwencji, roz-
woju talentów tak ze strony
bibliotekarki jak i dzieci. O-
czywiście bibliotekarka musi
dać impuls: od niej bowiem
wszystko zależy. Ona jest ner-
wem poruszającym i magne-
sem przyciągającym. Tam
gdzie bibliotekarka posiada
dar pedagogiczny, organiza-
cyjny i ożywczy — ciągną
dzieci, skupiają się i zespala-
ją w aktywy, który zaczyna w
różnych kierunkach przeja-
wiać inicjatywę, a więc: upie-
ksza lokale, urządza wystaw-
ki, maluje plansze i gazetki
okolicznościowe, zbiera mate-
riały do albumów i katalogów
zagadnieńowych, organizuje
obchody, przedstawienia, re-
cytacje, teatryki lalek, cieni,
konkursy, zagadki, wycieczki
itp. A wszystko na tle prze-
czytanych książek, w rytm
świąt narodowych i rocznic
historycznych albo literac-
kich.

Różnorodność form

Takie żywe ośrodki czytel-
nicze, w których dzieci kształ-

Amelia Łączyńska

kierownicza biblioteki

ca się, czytają, poznają lite-
raturę, a również wyzywają
się twórczo — prowadzą w
Bibliotece Miejskiej bibliote-
karki: Janina Bergmanówna
w filii 2 na Starołęce, Emilia
Wilkoszewska w wypoży-
czalni nr 6 na Smochowic-
cach, Halina Lubaczewska w
filii 3 na Jeżycach. Każda z
tych bibliotekarek ma inny
styl pracy, inną stosuje me-
todę, ale wszystkie umieją
przyciągnąć dzieci i rozbudzić
w nich zamiłowanie do
książki i zapał do twórczej
pracy. Inne placówki oparły
się przede wszystkim na ści-
słym porozumieniu ze szko-
łami (aczkolwiek niezbędne-
go warunku tego dopełniają
w pewnej mierze wszystkie) i
wzajemnym wspieraniem się.
Czytelnia nie tylko dostarcza
potrzebnych lektur szkol-
nych, ale w godzinach głoś-
nego czytania bibliotekarka z
dzieci opracowuje i omawia
bieżącą lekturę i przygotowuje
je w ten sposób uczniów do
lekcji. Szkoła zaś deleguje
dzieci do biblioteki dla przy-
gotowania pewnych imprez i
specjalnych zadań. W podob-
nym kierunku rozwija się
praca w czytelni dziecięcej w
filii 5 na Wildzie. Dobre
zsynchronizowanie pracy
dwóch pedagogicznie i oświa-
towo działających instytucji
daje doskonałe wyniki. Zada-
nia, do których czytelnie dzie-
cięce zostały powołane, nie
mogą nigdy zejść na plan dru-
gi — dlatego dobór facho-
wych i zdolnych sół bibliote-
karskich w tej dziedzinie po-
winien być szczególnie tros-
kliwy.

Przedszkolaki —

„namiętni czytelnicy”

A teraz słów parę o samych
czytelnicach — dzieciach po-
wie bibliotekarka Janina Ko-
stańska:

— Czy wiecie, że do biblio-
tek dziecięcych zapisuje się
wiecej chłopców, niż dzie-
wcząt? Dziewczęta jednak prze-
wyżają chłopów wytrwa-
łością w czytaniu i dbałością o
czystość książki. Najmłodsze

dzieci tzw. przedszkolaki by-
wają już czasem namiętnymi
„czytelnikami”. Zwykle zanu-
dzają rodziców, albo starsze
rodzeństwo o głośne czytanie
bajek. Lubie tych malców
za bezpośredniość i śmiałość
ich wypowiedzi. Nie chcą słu-
chać bajki „O Stachu, krowie
i traktorze”, natomiast prze-
padają za bajkami Brzechwy.
Jego „Pali się” wywołuje nie-
odmiennie głośne salwy śmie-
chu; chętnie słuchają bajek-
czek Tuwima, Kownackiej,
Szelburg-Zarembiny. Lubią
obrazki. Mają zdecydowane
gusta, co im się nie podoba
odrzucają wręcz, a jeden
przemądrzałem powiedział mi
raz tak: „Proszę o książkę po-
dobną do „Annaruka, chłop-
ca z Grenlandii”, bo nie lu-
bie czytać głupstw”.

Nawet starsze dzieci chcą
bajek, a gdy ich żądają, tłum-
aczają się wstydliwie: biorę
dla siostrzyczki lub bracisz-
ka.

Dziewczynki lubią książki
pensjonarskie, dziewczęce,
chłopcy — oczywiście przy-
gody.

„Opinia publiczna”

W wyborze lektury kierują
się rozmaicie: jedni szukają
zmudnie w katalogach, inni
patrzają na obrazki, inni idą
za „opinią publiczną”, lub po-
legają na zdaniu „oczytane-
go kolegi”. Jeśli ten wyraził
się o książce „to knipa w de-
chę” znaczy, że warto ją brać
bez namysłu.

Są i czytelnicy — pozeracze,
którzy niemal codziennie
zmieniają książki, a o żadnej
nie powiedziec nie umieją.
Przez ich głowy przelatuje
wszystko jak przez sito.
Szczęściem jest takich nie-
duzo.

Na zakończenie umieszczam
apel od wszystkich bibliote-
karek dziecięcych (w których
szeregu i ja stoję), do na-
szych firm wydawniczych:
**Drukujcie nam wiele książ-
zek dziecięcych, dawaj-
cie nowe tytuły z literatury
dawnej i dzisiejszej. Nasze
dzieci przeczytały już nieraz
po pięć razy tę samą książkę
i nie dla takich już na pół-
kach naszych znaleźć nie mo-
żna.**

Nowy konkurs filmowy

Redakcja naszego pisma i
Okręgowy Zarząd Kin ogła-
sza nowy konkurs filmowy
z nagrodami. Zadania podaje
my niżej. Rozwiązanie pier-
wszego (krzyżówka) stano-
wić będzie tytuł nowego fil-
mu polskiej produkcji. Tytuł
innego filmu otrzymamy rów-
nież w wyniku rozwiązania
szarady. Tytuły dwóch pol-
skich filmów natomiast oraz
aktualne hasło filmowe otrzy-
mamy po odczytaniu koni-
kówki, posuwając się z pola
oznaczonego literą „P” ru-
chem konika szachowego.

Warunkiem wzięcia udziału
w konkursie jest załączenie
do rozwiązania biletu
wstępu do jednego z kin (bez
kuponu kontrolnego) przez
mieszkańców województwa
poznańskiego. Mieszkańcy po-
znajscy muszą dostarczyć bi-
let wstępu do kina „Bałtyk”.
Rozwiązania należy przesyłać
do dnia 10 czerwca br. do re-
dakcji „Głosu Wielkopolskie-
go” w Poznaniu, ulica Grun-
waldzka 19 względnie do O-

kręgowego Zarządu Kin w Po-
znaniu, ulica Chelmońskiego
nr 21 z dopiskiem na kopie-
cie: „Konkurs filmowy”.

Nagrody

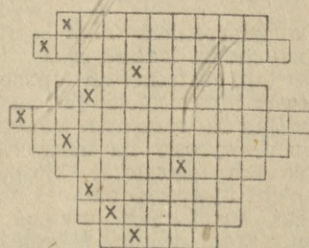
Za najlepsze rozwiązania
przeznaczone zostały dla uc-
czestników konkursu nastę-
pujące nagrody:

1. kupon 300-złotowy do skupu tekstylnego,
2. komplet: wieczne pióro i ołówek,
3. portfel skórzany,
4. ozdobne wydanie książ-
ki pt. „Młodość Chopina”,
- 5 i 6. półroczny abonament do kina,
- 7—11. nagrody książkowe,
- 12—14. kwartalny abona-
ment do kina, oraz
- 15—26. dwumiesięczny a-
bonament do kina.

Zamiejscowym nagrody
przesłane zostaną pocztą.

Przedstawiamy nasze zadania

I. Krzyżówka



1. znany polski artysta filmowy z filmu „Zakazane płe-
senki”, 2. film produkcji polskiej znanej reżyserki filmo-
wej, 3. rodzaj filmu (film wesoly), 4. przeglądy filmów,
5. bajka filmowa prod. radzieckiej (o zacczarowanym ko-
niu), 6. znany operator kroniki filmowej, 7. aparat do
wycinania filmów, 8. aktor filmowy inaczej, 9. tygodnik
filmowy, 10. film produkcji duńskiej (wspak). Literę w
kratkach oznaczonych krzyżykiem dadzą rozwiązania.

II. Szarada

Pierwszą drugą masz na celu
Część trzeciej — wygrywa

w loterii

Czwarta to przyimek z wielu

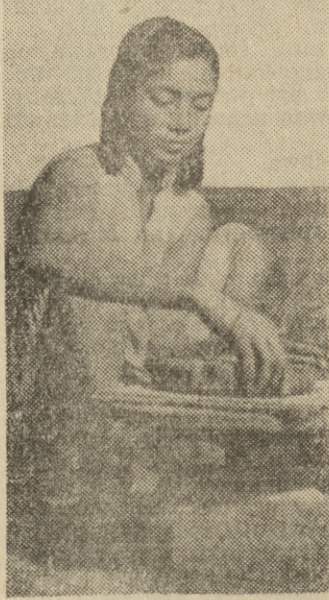
Całość — film był pierwszej

serii

III. Konikówka

P	I	G	O	R	T	I	S
O	P	I	K	F	L	A	O
E	T	E	R	R	S	K	I
M	T	J	A	I	A	S	B
K	O	N	I	L	A	E	A
A	C	U	D	I	I	Y	K
M	A	I	E	K	I	G	J
E	M	E	Z	N	K	Z	C

Weź udział
w Konkursie Filmowym
„Głosu”



Młoda Filipinka wytwarza
piękne i artystyczne naczynia
do stołu i na ozdoby. Cera-
mika ludowa Filipin jest
wyjątkowo ciekawa pod
względem artystycznym.

W CZASIE CZTERECH SKURCZÓW SERCA

NAPISAŁ: Janusz Sikowski

ZDJĘCIA: Kazimierz Przychodzki



Kiedy chirurg staje nad uszniętym ciałem chorego? Czy lekarz chętnie ucieka się do pomocy swego kolegi operującego lancetem? Lekarze wolą na ogół uniknąć chirurgicznych zabiegów! Jeśli istnieje jakiś środek rokujący „poza-operacyjnie” nadzieje, starają się go wykorzystać. Zdarza się jednak, że wada organizmu ma charakter błędny anatomicznego (wrodzonego lub nabytego). Cóż, takie defekty organizmu ludzkiego nie poddają się ani leczeniu klimatycznemu, ani specyfikom iarmaceutycznym, ani nawet światłom... Jedynie zręczne palce chirurga mogą przywrócić człowiekowi normalne życie. Dotychczas na ogół tylko ortopedzi stosowali taką zasadę, by nie nie wycinać „reperować” zniekształconą od urodzenia kończynę, wydłużyć kość, wstawić sztu-

czny staw w miejsce uszkodzonego reumatyzmem. Dziś do tej niewątpliwie wyższej formy „naprawy” organizmu człowieka przystąpił kardiochirurg — lekarze otwierający lancetem i usuwający uszkodzenie centrali ludzkiego życia, operujący serca.

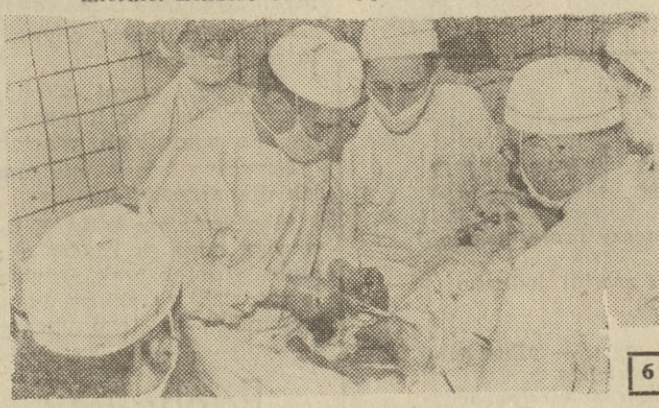
Choroba zaczyna się niewinnie. Coraz silniej postępujące osłabienie (aż porażające niepokoić). Wezwany lekarz może już tylko stwierdzić goścowe zapalenie wsierdza, grożące uszkodzeniem zastawek.

Każdy słyszał o zastawkach, lecz nie wszyscy czytelnicy wiedzą, że jest to cienka błona między przedsionkiem a komorą sercową. Jej działaniem jest podobne do wentyla rowerowego. Krew może płynąć tylko w jednym kierunku — z przedsionka do komory. „Światło” zastawek, a

więc ich średnica sięga u dośrogi człowieka trzech centymetrów. Wątki, cienka tkanka łatwo ulega atakowi bakterii. Ciężkie szkarlatyny, reumatyzm stawowe wywołują na krawcach zastawek stany zapalne, a więc ropienie, „ślimaczenie” się brzośców, które w końcu po prostu sklejają się, lub nawet trwale zrastają. „Światło” kurczy się z normalnych trzech dziesięciu do pięciu (!) milimetrów. Na tym zmniejszeniu średnicy przepływu krwi polega wada zastawkowa serca. Cierpiący na nią może żyć, lecz nie jest zdolny do żadnego większego wysiłku. Łatwo zapada na inne choroby (zapalenie płuc, nerki, wątroba itp.), gdyż organizm jest źle ukrwiony. Odpoczywającemu np. w pozycji leżącej człowiekowi wystarczy małeńki otwór, którym przepływa wystarczająca ilość niosącej tlen krwi lub pompującej ją dla utlenienia do płuc. Gwałtowniejsza praca mięśni, szybki krok, bieg, nie sienie jakiegos ciężaru, wytężona praca umysłu, a wreszcie u kobiet ciąża — burzy równowagę organizmu. Tkaniki, mięśnie, mózg — domagają się więcej tlenu. Podrażnione nerwami płuć biorą więcej powietrza, serce przyspiesza rytm, skurcze jego stają się gwałtowniejsze — lecz wysiłek ten idzie na marne. Zastawki nie mogą przepuścić nowej dawki krwi. Uszkodzony wentyl centrali ludzkiego życia skurczył się przeciw kilkakrotnie. Człowiek sinieje, słabnie. Może



Igła zagłębiła się po raz ostatni i cięcie zostało zaszyte. Skołatane serce wytrącone z równowagi bije jeszcze nierównomiernie. Lekarze obserwują uważnie jego pracę.



Teraz tylko trzeba „zacerować” wielką jamę klatki piersiowej. Nie muszą być mocne, trwałe. Zszywa się kolejno wszystkie warstwy: opłucną, tkankę mięśni, tkankę tłuszczową, a wreszcie skórę. Gdy rana się zablizni, po operacji zostanie trudno widoczna, biała kreska. Jak dotąd wszystkie operacje wykonane przez poznański zespół dr. Jana Moll zakończyły się pełnym powodzeniem. Zyczymy mu dalszych sukcesów w rozwijaniu nowej w medycynie polskiej gałęzi — kardiologii.



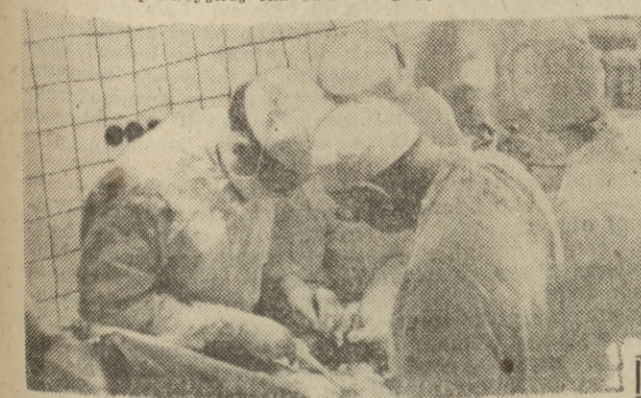
Przed operacją poddaje się chorego długim i szczegółowym badaniom. Między innymi cewnikuje się serce. Poprzez żyłę szyjną wprowadza się do wnętrza komory sercowej sondę, badając stopień utlenienia się krwi w określonym miejscu i wady anatomiczne. W ten sposób ustala się z ogromną dokładnością charakter schorzenia. Na chwilę przed operacją dr. Jan Moll jeszcze raz omawia ze swoim zespołem „topografię” chorego serca.



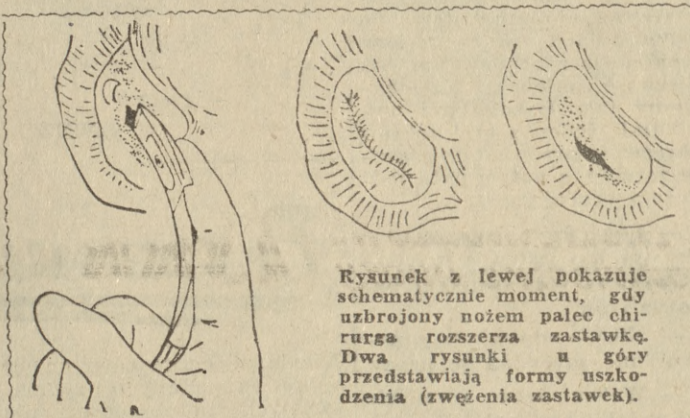
Aby uniknąć niebezpieczeństwa wykrwawienia się pacjenta w czasie zabiegu, zostaje wprowadzona do żyły tzw. „kroplówka”. Strata krwi operowanego jest natychmiast uzupełniana transfuzją.



Zastrzyk bezpośrednio w okolicę serca. Igła tkwi w ranie operacyjnej tuż obok drgającego kłębaka.



Przed otworzeniem przedsionka cięciem lancetu chirurg ze swym asystentem zakładają „szew bezpieczeństwa”. Chroni on pacjenta przed możliwością krwotoku. Na zdjęciu widzimy w rękach obu lekarzy pinety, w których trzymają półokrągłą igłę.



Rysunek z lewej pokazuje schematycznie moment, gdy uzbrojony nożem palec chirurga rozszerza zastawkę. Dwa rysunki u góry przedstawiają formy uszkodzenia (zwężenia zastawek).

nawet stracić przytomność po przebiegnięciu truchcikiem stu metrów, lub szybkim wejściu na drugie piętro.

Bywa także inaczej. Wada jest wrodzona, np. pozostało połączenie między tętnicą płucną i aortą z okresu życia płodowego dziecka. Krew żylna miesza się z tętniczą i powoduje brak tlenu. Zdarza się jeszcze gorzej: dziecko urodziło się z sercem posiadającym połączenie między lewą a prawą komorą, bądź też ze zwiększeniem tętnicy płucnej, co daje te same ujemne objawy. Żadnym lekarstwem takiej wady wrodzonej usunąć nie można. Tylko kardiochirurgia znalazła sposób, by usunąć defekt serca i przywrócić pacjentowi normalnemu życiu. Nie ten jednak zabieg opisujemy. Są to wypadki rzadsze. Więcej ludzi cierpi na uszkodzone zastawki, które jako jeden z pierwszych w Polsce „naprawia” poznański zespół lekarzy oddziału chirurgii torakalnej w szpitalu im. Józefa Strusia.

Pani S. była w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Osłabiony długim więzieniem organizm zaatakował gościec. Chorobę jakoś przetrzymała, lecz odtąd zostało ciężkie cierpienie. Lekarze kardiologów (specjaliści chorób sercowych) orzekli, że jedynym ratunkiem jest operacja.

„Ano, opowiadała później, nie miałam nic do stracenia. Takie życie, jak dotąd nie było nic warte. Zdecydowałam się... powierzyłam swoje życie doktorowi Mollowi.”

Napisać tych kilka słów: „w sercu sklejone zastawki”. Operacje serca wykonuje przede wszystkim znakomity chirurg, pionier kardiologii w Polsce doc. dr Manteufel w Warszawie. Z jego bogatych doświadczeń (pięćdziesiąt zabiegów) korzysta poznański operator dr Jan Moll. Poza tym operują jeszcze prof. dr W. Bross, prof. dr J. Gasiński i prof. dr J. Rutkowski.

ki trzeba rozdzielić” — jest łatwo. Chirurgowi także nie sprawiałby ten zabieg wielkiego kłopotu, jest on bowiem nieskomplikowany. Ale tu chodzi o serce, niewielką bryłę mięśni, drgającą bez ustanku, pompę tłoczącą krew do organizmu. Pompę, której nie można zatrzymać... „Naprawę” zastawek trzeba dokonać w czasie czterech skurczów serca. A więc trochę mniej niż cztery sekundy.

ciężkie westchnienie. Krople eteru spadają z butelki miarowo na białą gazę pokrywającą twarz. Gdy chora zapadnie w narkotyczny sen, dr Łukomska nałoży jej maskę aparatu, wprowadzi do tchawicy rurkę oddechową. Później zastrzyk kurary, straszliwej trucizny Indian amerykańskich, pozbawi nerwy zdolności przenoszenia bodźców, poruszania mięśni oddechowych. Świadomość operowanej zginie: będzie leżeć nieruchomo, jakby martwa. Tylko wyczuwalny puls, bijący rytmicznie daje świadectwo życia. Płuca same nie mogą wciągnąć tlenu zmieszanego z eterem — za operowaną oddycha aparat. Lekarka czuwa przy nim, naciągając miarowo gumowy worek.

Stoję obok wyciągniętej ręki kobiety. Powyżej łokcia umocowany aparat do mierzenia ciśnienia krwi, które kontroluje się co kilka minut. Położone na prawym boku ciało odkryto sterylizowanym płótnem. Długie, obfite mazi nie jedyną odsłoniętego pola operacji. Cięcie noża zostawia za sobą kremowo-żółtawy, natychmiast czerwieniejący ślad. Krótkie dotknięcie igły elektrycznej zamyka ją drobne żyłki i tętniczki. Większe trzeba podwiązać jedwabną nitką. Warstwa po warstwie zostaje rozcięta i zaizolowana przed krwawieniem. Nareszcie pod lancetem rysuje się klatka piersiowa. Jedno żebro trzeba wyciąć — inaczej operator nie dostałby się do komory...

Pierwszy raz widziałem żywe płuco. Różowy balonik na pełniący się powietrzem. Chirurg odgarnia ręką górny płat i oto ukazuje się drgająca, jakby podrywana elektrycznym prądem żółta woreczek wielkości zaciśniętej pięści.

— Nowokaina! — żąda chirurg.

Siostra podaje strzykawkę. Długa igła zagłębia się we wnętrzu głębokiej jamy.

— Jeszcze... — powtarza lekarz, a do stojącego naprzeciw dr. Pfonta: — Przytrzymaj worek osierdźlowy.

Znieczulający lek? Przecież kobieta znajduje się w głębokiej narkozie! Później dr Moll wyjaśnił: „Dotknięcie serca czymkolwiek, nawet palcem, nie mówiąc o nożu czy igle, natychmiast wywołuje arytmie, dodatkowe skurcze. Nowokaina przytępiła te bodźce. Bez silnego działania znieczulenia miejscowego trudno byłoby po zabiegu wyprowadzić chora z zaburzeń czynnościowych.”

Czuje, jak mi serce łomce. Stojący nad stołem lekarze, siostry pomocnicze, wszyscy obecni badawczo wpatrują się w miejsce, gdzie za chwilę chirurg dokona zabiegu.

Spojrzenie operatora w kierunku lekarki dyżurującej przy oddychaniu. Uchyła ona powieki pacjentki, a potem skinieciem głowy potwierdza, że można zaczynać. Szepem informuje mnie lekarka: nowo.



Chirurg już odszedł, lecz anestezjolog musi czuwać. Jeszcze chora sama nie może oddychać. Z niedostrzegalnych ruchów klatki piersiowej, notowanych w precyzyjnym aparacie, stwierdza lekarka, że operowana zaczyna wracać do przytomności. Obudzi się z szczęśliwym uczuciem ulgi, że „już po wszystkim”. Pozostają jej trzy dni złego samopoczucia (długa narkoza), kilka tygodni rekonwalescencji — i nowe, pozbawione kłopotów zdrowotnych życie.

Pisząc o tym nie można się powstrzymać od opowiedzenia zabawnego zdarzenia. Pewien młody (22-letni) mężczyzna, który poddał się w oddziale torakalnym szpitala im. J. Strusia operacji serca przyszedł po pół roku do kontrolnego stwierdzenia wyników. „Panie doktorze — powiedział do chirurga — badanie będzie pewnie niedokładne, bo bardzo się dzisiaj zmęczyłem”. Lekarz zaniepokoił się: „Cóż pan takiego robił?” Chory uśmiechnął się nieco zażenowany: „Nie takiego, panie doktorze... wniosłem przed południem bratu dwa tysiące cegieł na pierwsze piętro. On buduje sobie jednorodzinny domek i chciałem mu pomóc.”

— Sprawdzam szerokość zrenia i głębokość narkozy. Przy cięciu serca, narkoza musi być całkowita.

Worek osierdźlowy rozciąty. Kłębek mięśni podrywa się w regularnych skurczach.

— Jak ciśnienie?

— Dziewięćdziesiąt pięć.

— Tętno?

— Dobre, rytmiczne, nie przyspieszone.

— Zakładamy szew sercowy.

Nitka z półokrągłą igłą zagłębia się w drgającym sercu. Trzeba miejsce przyszytego cięcia zawczasu otoczyć dwoma szwami. Dla bezpieczeństwa przed możliwością krwotoku.

— Nożyk sercowy... Otwieramy.

Zaszycha mi w gardle. Więc teraz. Chęć uchwycić chwilę, gdy palec chirurga wejdzie się do przedsionka i szybkim ruchem, który będzie trwał krócej niż cztery skurcze, rozdzieli zwężone zastawki.

Widziałem tylko szybki, śmiały ruch. Lancet rozciął mięśnie i ledwo kropla krwi wyszła się z serca. Otwarte miejsce zatyka jak korkiem palec chirurga w gumowej rękawiczce — i teraz najważniejsze: dłoń jakby zniżyła się, zagłębiając w otwór tej jamy, kręty gest ręki i serce przestaje bić.

Lecz to chwila, nie obejmuję czasu dramatycznej „czwórki”. Już palec wyprowadzony z wylotu zastawki. Życie znów zaczyna drgać, przyspiesza powoli swój rytm.

Trwa to strasznie długo — jakaś minuta, a może półtora. Znowu palec zagłębia się w sercu. Kontroluje, czy zastawki rozdzielone, czy nie wytworzył się skrzep. Znowu chwila emocji. Minuta na uspokojenie zmęczonego serca chorej. Dwaj asystenci przytrzymują końce „szwów bezpieczeństwa”.

Operator rzuca jakieś słowo, którego nie słyszę, bo siostra brzęknęła podawanymi narzędziami — i trzeci najniebezpieczniejszy moment operacji: — wyprowadzenie palca. Nie dość precyzyjny ruch i z otworu trysnąłaby gruba struga krwi. Ale założony uprzednio szew zaciska się równolegle z wyprowadzeniem palca. Te kilkanaście kropel, które wyciekły, zmieszałyby się na łyżeczkę do herbaty. Znowu przerwa. Skołatane serce p. S. musi chwilę wytchnąć, nim mocne, ze specjalnie przygotowanej i sprężonej nitki szwy nie zaczną ciągnąć brzegów niewielkiego cięcia.

— Penicilinę, streptomycynę...

Siostra podaje naczynie. Chirurg posypuje białym proszkiem tętniącą centralę życia ludzkiego. Już ją widzimy ostatni raz.

Oddychamy z ulgą. Lekarka siedząca u wezgiłowia chorej mówi spokojnym, beznamiętnym głosem:

— Arytmia ustała. Ciśnienie dobre.

A więc chora będzie żyć na nowo.

„młody mężczyzna nie mógł wykonywać żadnej pracy fizycznej.”



NA KONFERENCJI GENEWSKIEJ
Niezawisły czangaiszekowiec prosi o głos

STEFAN CHMIELNICKI

Krytycznie o krytyce

To dziwi mnie jakoś, to męczy mnie, psiakość to stale odbiera mi sen, że czasem dwóch bliźnich zawini jednakowo lecz odgłos krytyki nie ten.

Objadę, na przykład, sklepowa — albowiem za wcześniej zamknęła raz sklep. Za tydzień przychodzi pospieszna odpowiedź: Stwierdzono. Wylana. Na łeb.

Zbyt ostra to kara, więc odtąd się staram nie ruszać sklepowych, bo co? — gdy ja chcę, by szpilkę odczuła ofiara, ktoś szpilkę zamienia na nóż.

Lecz kiedy, na przykład napiszę, że źle się jej zwierzchnik wywiązał — to z biur przychodzi odpowiedź (przeważnie za miesiąc) że to jest pomyłka. Na mur.

Ze facet nie winien. Odwrotnie — że słynie on z takich a takich to cnót — że mu się niesłusznie podrywa opinię, że to korespondent nas zwiędł...

Więc kończąc, dodajmy: już pora dziś, aby czasami nie działać się tak, że krytyka mija bezbronnych i słabych, na wielkich zaś — zębów jej brak.

„SZPILKI“

To i owo...

W ubiegłym tygodniu rozpoczął się w Nowym Jorku „Tydzień czystości”. Ogromnym „wkładem” w dzieło utrzymania jak najlepszych warunków sanitarnych poszczycić się może zarząd hotelu Vanderbilt. Otóż, jak donosi agencja United Press, zewnątrzne ściany gmachu spryskano perfumami.

Topienie pszenicy czy kawy w morzu, polewanie ścian perfumami — wszystko to już było w USA — byle nie obniżać cen.

Jeden z artykułów ustawy Mac Carrana głosi:

Każdy obcokrajowiec, któremu udowodni się kontakty ze Związkiem Radzieckim może być usunięty poza granice Stanów Zjednoczonych. A więc Churchill, Eden... Też kontaktują się z ZSRR.

Węgierska Organizacja Turystyczna zwróciła się do włoskiego biura turystyki CIT z propozycją wysłania do Budapesztu 60-osobowej grupy na mecz Węgry—Anglia.

Włosi odrzucili propozycję węgierską, twierdząc, że „inicjatywa ta nie interesuje nikogo we Włoszech”.

Zapewne dlatego radio włoskie „zanudzało” cały Półwysep Apeniński własną transmisją meczu z Budapesztu od pierwszej do ostatniej minuty.

Związek Ochrony Prawa — profaszystowska organizacja w Austrii domaga się rehabilitacji zbrodniarzy wojennych. Wysłana ona też żąda nie wypłacenia odszkodowań tym osobom, które musiały zwrócić po wojnie majątki, zrabowane w okresie hitlerowskim.

A sumy potrzebne na wypłatę odszkodowań weźmie się z USA — nkejonowanych kredytów.

Dziękuję wydziału medycyny na Uniwersytecie w

Würzburgu (Bawaria) zarządził pod naciskiem katolickich koł wyłączenie studentów-kawalerów z doświadczeń anatomicznych nad zwłokami kobiecymi.

Inkwizycja hiszpańska blednie wobec tej z drugiej połowy XX wieku.

t. h. n.

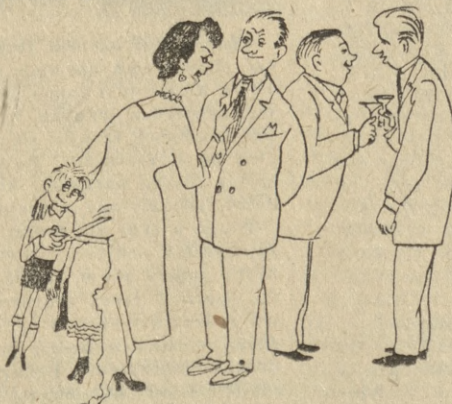
Kochająca matka i kochający ojciec



— Gdzie jest mój anioleczek? Gdzie się schował mój niewinny wróbleczek?



— Uspokój się już kochana córko. Widzisz przecież, że tatuś już skacze.



— Pan pięknie ze śmiechu, gdy Panu opowiem, co nowego zbroił wczoraj nasz Piotruś.



— A bądźcie tak laskawi nie zapominać o nas! Przyjdźcie znowu ze swoimi kochanymi łobuziakami.

Wszystkie rysunki „Eulenspiegel“

Chciałbym poprosić o zwolnienie z pracy, obywatelu prezisie. Owszem, pracuję jako magazynier już parę ładnych lat, ale ostatnio się zniechęciłem. Dawniej było inaczej, prezisie! Otrzymałem do magazynu rozdzielczego naszej Gminnej Spółdzielni — dajmy na to — wiadra. Oczywiście całe Ząbki Górne dowiadują się o wiadrach „w trymiga”. Żeby za dużo nie gadali, daję po jednym wiadrze do każdego sklepu gromadzkiego, a resztę „na wszelki wypadek” zatrzymuję w magazynie.

— Wiadra są? — pytają w sklepach ludzie.

— Byli, ale już wyszli! — mówi sklepowy.

Wtedy ten i ów ze znajomych zagląda do magazynu.

— Wiadra macie, obywatelu magazynierze?

— Może i mam! — odpowiadam. — A jeżeli mam, to nie dla wszystkich, wiecie?

I rzeczywiście — nie mam ich dla wszystkich.

Albo dostałem detki. U nas rowery mają w każdej chahupie, a detek brak. Gdybym je rozdzielił na sklepy, ludzie wykupiliby je tego samego

Fachowcy

Przy odgruzowaniu Starego Rynku pracuje załoga pracowników jednego z poznańskich urzędów. Pracownicy utworzyli długi rząd i podają sobie wzajemnie cegły z rozbiórki z niesłuchana wprawą i szybkością. Ostatni z kolejki wprawnie układa cegły na ośrodku stos. Po kilku dniach pracy załoga wybija się zdecydowanie na pierwsze miejsce. Zaciekawiony tak doskonałymi wynikami jeden z architektów obserwuje przez pół dnia pracę zespołu, a potem pyta jednego z pracujących:

— Powiedźcie, kolego: przecież wy nie jesteście wykwalifikowanymi robotnikami budowlanymi?

— Nie — odpowiada zapytany nie przerywając pracy.

— Wobec tego zdradźcie mi w jaki sposób doszłście do tak doskonałego sposobu podawania cegieł i do takiej wpraw!

Widzi pan, to prosta sprawa. Po prostu robimy z cegłami to samo, co robi się z podaniami w naszym urzędzie: bez długiego oglądania niezdaje się „reki do reki” a potem kładzie się na stos!

dnia. I w rezultacie dostałby je „kto pierwszy ten lepszy”. A czy nasi sklepowi orientują się, kto naprawdę potrzebuje detkę?... Ja to co innego — wiem komu taką detkę przydzielić, żeby był wilk syty i koza cała.

A w aparaty radiowe kto zaopatrzy wieś? Wiadomo: ja. I nawet się przy tym trochę zarobiło. No bo człowiek też musi wypić.

A w ogóle — magazynier w Geesie to była figura. Wszyscy się z nim liczyli. Nawet taki Kowalski, co go kułakiem na zebraniach nazywają, podawał mi rękę, a Warzonek bez ćwiartki do magazynu nie przychodził.

Chciałeś opony — dostałeś u mnie opony. Po znajomości.

Książka zażaleń

Pewna restauracja słynie z niegrzecznej obsługi. Już znowu udało się kelnerowi wprowadzić z równowagi jednego z klientów.

— Kelner! — woła oburzony gość. — Proszę mi przynieść książkę zażaleń!

— Proszę bardzo! — mówi flegmatycznie kelner, a potem dodaje: — Który tom?

WATPLIWOŚĆ



— Płeć?

„NBIZ“

TAD. M.

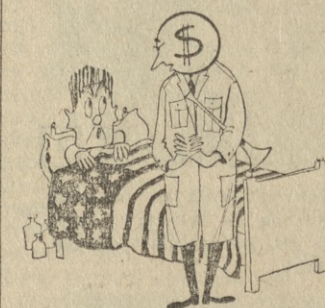
Po czemu w U.S.A. Grypa i Angina

Niedawno chorowałem na grype. Przyjemnych i sympatycznych chorób nie ma, ale grypa należy chyba do najbardziej utrapionych. Łamał się w kościach, podniesiona temperatura i fatalny wprost nastrój. Rad nie rad położyłem się do łóżka i... chorowałem. Rodzina zaważwała lekarza. Postanowiłem, zanim przyjdzie, poczytać. Rzuciłem okiem na półki z książkami i z zainteresowaniem właściwym w czasie choroby wyciągnąłem pracę zbiorową w języku angielskim pt. „Podrecznik dla chorych” („Health Education”, Washington). Już tytuł pierwszego rozdziału przykuł moją uwagę: „Finansowa wartość życia i choroby”. „Rzecz ciekawa, pomyślałem, ile jest warte życie człowieka z punktu widzenia businessmana i po czemu obecnie w Ameryce grypa i angina”.

Zacząłem czytać obliczenia Tow. Ubezpieczeń na życie „Metropolitan”, z których wynika, że w rodzinie z dochodem rocznym 2500 dolarów wychowanie dziecka do 18 roku życia kosztuje mniej więcej 7500 dolarów. Koszty wychowania dziecka do 18 roku życia są wkładem kapitału, który następnie powinien przynieść dywidendy w postaci zarobku wychowanka. Śmierć lub choroba dziecka są stratą kapitału. Jeżeli jednak dziecko żyło i osiągnęło 18 rok życia, to według

businessmenów angielskich warte jest 29 tys. dolarów.

Przyznaje, że zrobiło mi się nieswojo. A więc tak wygląda naga prawda o życiu człowieka w USA! Oni wszystko przeliczyli na dolary. Ileż wart byłbym u nich w moim dojrzałym wieku? W czasie tych rozmyślań, znużony obliczeniami zasnąłem. Krew



podsycona wirusami grypy napływała do mózgu. Zdawało mi się, że jestem ciężko chory i mam 15 lat, i nazywam się Tom, i mieszkam w Nowym Jorku. Niedaleko ode mnie w kącie pokoju mój ojciec rozmawia z jakimś chudym dżentelmenem. Obok stoi moja matka. O czym mówią między sobą? Wyczyłem słuch i dochodzą do mnie słowa ojca.

— Proszę mi dokładnie powiedzieć, doktorze, ile będzie kosztować leczenie mego syna Toma.

Doktor coś powiedział, prawdopodobnie wymienił cyfrę. Ojciec chwycił się za głowę. Matka cicho zapłakała.

— Nie żałujcie pieniędzy. Włożyliście już w tego chłopca co najmniej 20 tys. dolarów. Możecie je stracić.

— Oj, skąd weźmę tyle pieniędzy — gorzko odpowiedział mój ojciec.

„Och, czuję, że ginę” — pomyślałem. Matka ze łzami w oczach dodała:

— Musimy wszystko sprzedać, aby wyleczyć Toma.

— Mądra myśl — powiedział doktor. — Obiećcie tylko. Wasz syn ma 15 lat — za trzy lata zacznie dawać dochód i wydatki wasze się pokryją.

— Lecz jeżeli nie znajdzie pracy, a bezrobocie u nas wzrasta, lub na przykład złamie nogę? Co wtedy?

— No, za ryzyko skreślię wam z rachunku 50 dolarów. Pamiętajcie, dziecko to też business! Decydujcie się! I doktor poklepał mego ojca po ramieniu. Matka zapłakała tak żałośnie. Serce mnie zabolało. Nagle widzę, że doktor zbliża się do mnie a twarz ma jak wielki znak dolara. Drgnąłem z przerażenia i... ocknałem się.

U wezgłowia stał lekarz z naszego rejonu.

— Co wam jest? — zapytał. — Tak jęczeliście we śnie. I spojrział na mnie dobrzy, łagodny oczami. Zbadał puls i powiedział:

— Proszę oddychać głęboko.

Zacząłem oddychać głęboko... i spokojnie.

Opracował h. b.

Spóźnienie

Tadeusz Wiśniak wyszedł wieczorem wraz ze swym przyjaciелеm do miasta. Po drodze wstąpił „na jednego” a potem, aż do wczesnego rana wędrowali od jednej restauracji do drugiej. Następnego dnia rano Wiśniak zbudził się z nieznośnym bólem głowy. Kiedy spojrzął na zegar, włosy zjeżyły mu się na głowie: było wpół do dziesiątej!

Wiśniak wstał z trudem z łóżka, ubrał się i dowlokłszy się do najbliższego telefonu, nakreślił numer swego dyrektora. Po chwili w słuchawce odezwał się znajomy głos zwierzchnika.

— Panie dyrektorze! — tłumaczył się nieszczęśliwy Wiśniak. — Niestety nie będę mógł dzisiaj przyjść do biura. Jestem straszliwie przeziębiony, mam dreszcze i wysoką gorączkę.

— To nic nie szkodzi! — uspokoił go szef. — Niech się pan tylko porządnie wykuruje, żeby pan do jutra wyzdrowiał. — A potem dodał: — Zresztą dzisiaj jest i tak niedziela!

